Nr. 1. We Lwowie, styczeń, 1922. Rok XLIII.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W styczniu wolno polować na wszelką zwierzynę łowną, prócz kuropatw.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA" znajduje się przy ul. **Mickiewicza l. 6.** Godziny urzędowe dla stron od 10—12. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca". Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Uprasza się o natychmiastowe nadsyłanie wkładek zapomocą czeku załączonego do dzisiejszego numeru. **Wkładka na rok bieżący wynosi tysiąc marek.**

NA ROK NOWY.

W dniu dzisiejszym poczyna Towarzystwo nasze czterdziesty trzeci rok swego istnienia.

Przez długi ten okres czasu przechodziło Ono chwile ciężkie i świetne, chwile nadziei i zwątpienia, przechodziło chwile zupełnej niemocy i zastoju — gdy zawierucha polityczna z r. 1918 na 1919, jak się zdawało, przecięła nić Jego żywota.

Ale była to śmierć pozorna, niedługo trwający sen letargiczny.

Rok ubiegły, rok 1921, w historji naszego Towarzystwa zasługuje zaiste na miano Wielkiego.

W wolnej, zmartwychwstałej Ojczyźnie zmartwychwstało i Towarzystwo nasze!

Wskrzeszenie i zorganizowanie tej ukochanej przez nas instytucji łowieckiej było ze strony dzisiejszego Wydziału uczciwie spełnionym obowiązkiem, olbrzymią jednak zasługą Społeczeństwa naszego łowieckiego jest, że podało rękę w żmudnej pracy organizacyjnej Wydziałowi i zrozumieniem sprawy, oraz ofiarnością postawiło ją w przeciągu kilku miesięcy na pewnej, niewzruszonej już podstawie bytu.

A Towarzystwo łowieckie polskie, to polskie łowiectwo!

W wspaniałych rewirach naszych, w których bywaliśmy dotąd skromnymi gośćmi, jesteśmy dziś gospodarzami! Od nas głównie zależeć będzie ich przyszły stan i przywrócenie im dawnej świetności.

Łowiectwo nasze dało w tych ciężkich historycznych przeżyciach dowód wielkiej siły i odporności, łowiecka Brać nasza dowód wielkiego umiłowania zielonego Sztandaru, a wyrazem tego jest zorganizowane i znów po dawnemu czynne Małopolskie Towarzystwo łowieckie

I Ono już nie spocznie. Ręka w rękę, ramię do ramienia z swymi Członkami kroczyć będzie naprzód utartą już drogą dla dobra polskiego łowiectwa!

Z nowo zaczętym rokiem Wydział zasyła Wam dzielni Współpracownicy i Przyjaciele, życzenia spełnienia najgorętszych Waszych życzeń i nadziei!

Za osiem lat obchodzić będziemy 50-lecie naszego istnienia!

Z Wami razem na te Złote Gody! Hen i dalej!.. W złotą, djamentową przyszłość!

Wydział M. T. Ł.

INZ. STANISŁAW KUBIŃSKI.

Fizyka strzelca.

(Ciąg dalszy)

Podstawą do konstrukcji poprzednio wspomnianej metody były następujące rozważania. Opór tarcia pocisku w lufie jest wobec wielkich ciśnień tam panujących znikomo mały i może być w obliczeniach pominięty. Ciśnienie gazów powoduje, że prędkość pocisku w lufie ustawicznie przyspiesza. Czy to przyspieszenie jest jednostajnem, czy też zmiennem, może jedynie wskazać wykonany pomiar czasu, jaki potrzebuje pocisk na przybycie pewnej określonej drogi w lufie. Jeżeli zatem w ścianie lufy wywiercimy otwory w pewnych odstępach i otwory te opatrzymy elektrycznymi kontaktami, które będą nam sygnalizowały przechodzenie kuli przez dane miejsca, wówczas zapomocą czułego chronometru systemu Siemensa będziemy mogli odczytać wprost czas w ułamkach sekundy, jaki pocisk spotrzebował na odbycie tych odcinków lufy, w określonej długości. Ten pomiar czasu posłuży nam do obliczenia ciśnienia gazów. Znając bowiem czas trwania biegu pocisku przez pojedyncze odcinki lufy, jego masę i przyjmując w pierwszym odcinku, poza komorę nabojową ruch, jako jednostajnie przyspieszony od prędkości zerowej do prędkości V_1, znajdziemy dla pierwszego odcinka długości s_1 na podstawie relacji wyprowadzonych w jednym z pierwszych ustępów „Fizyki strzelca“ $m \cdot v_1 = P \cdot t_1$ gdzie „m“ oznacza masę pocisku w kilogramach, zaś „P“ całkowity nacisk gazów na pocisk, czyli iloczyn cisnienia gazów „p_1“ w pierwszym odcinku lufy, liczony w atmosferach, i powierzchni wiercenia lufy f zatem $P = p_1 \cdot f$.

Prędkość V_1 obliczymy ze wzorów $v_1 = g_1 t_1$ gdzie g_1 oznacza przyspieszenie pocisku w pierwszym odcisku i $s_1 = \frac{1}{2} g_1 t_1^2$ eleminując g_1. Więc $s_1 = \frac{1}{2} v_1 t_1$ stąd $V = \frac{2s_1}{t_1}$.

Zatem $m. v_1 = m. \frac{2s_1}{t_1} = P. t_1 = p_1 . f. t_1$ stąd obli zymy $p_1 = \frac{m.2s_1}{f.t^2_1}$ wyraziwszy to słowami, otrzymamy regułę: cisnienia gazów w pierwszym odcinku lufy równa się ilorazowi podwójnego iloczynu długości lufy i masy kuli przez iloczyn powierzchni wiercenia i kwadratu czasu biegu pocisku przez pierwszy odcinek. Dla odcinka drugiego obliczenie będzie posiadało przebieg daleko prostszy. Przyrost ilości ruchu pocisku w odcinku drugim będzie równy różnicy ilości ruchu, jako pocisk posiada przy opuszczaniu odcinka drudiego i tej ilości ruchu, jaką posiadał przy wchodzeniu do odcinka więc $m v_2 = m v_1$:

Ten przyrost ilości ruchu zostanie wywołany przyrostem ciśnienia $p_2 = p_1$ to też $m v_2 - m v_1 = (p_2 - p_1 . f. t_2$.

Prędkość v_2 znajdziemy ze wzorów $s_2 = \frac{1}{2} g_2 t_2^2$ i $v_2 = v_1 + g_2 t_2$ stąd ustawiając $g_2 = 2s_2/t_2^2$ otrzymamy $v_2 = v_1 + 2s_2/t_2$ zatem $(p_2 - p_1) f. t_2 = m_2 (v_1 + 2s/t_2 - v_1) = m\, 2s/t_2$ zaś $p_2 - p_1 = \frac{2\, m\, s_2}{f. t_2^2}$. Wzór powyższy jest jak widzimy identyczny ze wzorem otrzymanym dla odcinka pierwszego. W ten sposób zapomocą pomiarów czasu biegu pocisku jesteśmy w stanie obliczyć ciśnienie w każdym przekroju lufy. Metoda ta wygodna w użyciu i eleminująca wszelkie pomiary pośrednie jest wyłącznie oparta na ścisłości wskazań chronometru używanego przy pomiarach. Chronometr systemu Siemensa, który posługuje się jako wskaznikiem, iskrą elektryczną o wysokiem napięciu, wskazuje czas z dokładnością jednej milionowej części sekundy. Pomiary wykonane przy jego pomocy dają gwarancję ścisłości. Jak zapowiadają dobre wróżby, będzie można w przyszłym roku przystąpić do urządzenia laboratorjum doświadczalnego broni palnej we Lwowie, gdzie zostanie wypróbowaną powyżej podana metoda, a wyciągnięte przy jej pomocy wnioski zostaną podane do wiadomości naszych czytelników. (C. d. n.)

ST. W. ORSKI.

Po złomek jedliny.

(Dokończenie).

Tego samego dnia popołudniu idziemy z ojcem mego towarzysza, znakomicie wabiącym na rogu, przez okopy i druty, przedzierając się przez gąszcze wprost na przełęcz, spodziewając się, że tu może znajdziemy lepszy wgląd do potoku i na przeciwległą zbocz. — Trud daremny, okna nie znaleźliśmy, a odległość obu halawek znacznie się zwiększa.

Towarzysz mój z powodzeniem udaje jelenia, a po kilkakrotnym wabieniu słyszę najwyraźniej stąpanie, przedzieranie się przez gąszcz z dołu ku nam i odnoszę wrażenie, że mam tuż obok siebie byka na 15 kroków. Z zapartym oddechem czekam na kilka dalszych i na białe końce wśród gałęzi... ale, czy wiatr zmienił kierunek, czy która z łań dostała nam się w plecy, dość, że po chwili ciszy słyszymy kilka potężnych, niestety powrotnych skoków, łomot, trzask drzewa i łamanych gałęzi, a wkrótce w gąszczach przeciwległej zboczy migocą nam tu i ówdzie jasne plamy ciągnących ku grzbietowi dwu łań i białe końce wieńca, posuwającego się za nimi, sztychem od nas, grubego czternastaka. W okienkach czytam przez Zeissa wszystkie zalety i wady i odczytuję, że wart trudu i stanowić może piękną, myśliwską zdobycz.

Nikną nam jelenie za granią, a my zemocjonowani, dzieląc się wzajemnymi spostrzeżeniami, które o niejeden upadek wśród drutów na stromej ścianie nas przyprawiły, drapiemy się na naszą ziemiankę. Zamiast wyspać się w szałasie, o 10 minut drogi, od ziemianki odległym, by raniutko wdrapać się na nią i wziąć pod ścisłą obserwację ów stok z polankami, kusi mnie pierwszy tajemniczy jeleń.

Namawiam mego poprzedniego towarzysza i wieczorem drapiemy się znów na wirch wśród silnego wichru, który coraz bardziej się wzmaga, a z chwilą, gdy jesteśmy na szczycie przechodzi w huragan, całą noc trwający. W takich warunkach nietylko nie słyszeliśmy nic, ale przemarznięci nie byliśmy w stanie oka zmrużyć. Z brzaskiem dziennym dla rozgrzania się zbiegamy z Tatarówki, płosząc po drodze stojące razem na polance, na kilkadziesiąt kroków dwa rogacze, jednego bardzo dobrego ósmaka o długich końcach i znacznie od niego mniejszego z szerszeniałą sierścią z barwy do wilczej podobną, perukarza. Zamiast rogów miał jakąś wypukłość na głowie.

Na przełęczy Riczki dochodzi nas ryk jeleni, ale tak dziwny i nienaturalny, że zaciekawieni wyłazimy na wyskok, z którego mamy daleki widok na zrąb Libochorski.

Po chwili wypatrywania towarzysz mój odzywa się: „jeleń ma białe spodnie“ i pokazuje mi chłopa, (prawdopodobnie gajowego) w białych spodniach, ryczącego na grani. Na te wabienia odzywają się jeden słabszy a drugi znany nam już z Medwickiego.

W połowie drogi z Tatarówki słyszymy, dobrze po 6-tej rano, na lewo od nas, w pobliżu naszego szałasu jelenia z Tatarówki.

(Był to jedyny dzień, w którym słyszałem za dnia odzywające się byki wraz z owym w białych spodniach).

Pędzimy, chcąc zorjentować się, gdzie się ów poszukiwany przez nas, za którym niepotrzebnie łaziliśmy na Tatarówkę — odzywa. Ryk dochodzi nas, jakby z owej dolinki, obok bagienka.

Biegniemy na drogę wojskową, by mu przeciąć drogę towarzysz mój zrzuca buty, ja po drodze zrzucam futerko, później kurtkę, w końcu kapelusz, bo zgnanemu i zemocjonowanemu wszystko zawadza. Potężny ryk dochodzi nas ciągle z prawej strony, biegniemy, by osiągnąć wiekszą polanę, przez którą droga przechodzi, w nadziei, że równolegle posuwający się jeleń musi przejść

przez polanę, o ile go w starym lesie nie chwycimy pod oko. Wiatr mamy dobry. Mimo to, czy my biegliśmy za powoli, czy jeleń posuwał się za prędko, dość że wkrótce cichnie, prócz bicia serca nie słychać nic, a po dwukilometrowym „lekko atletycznym“ biegu widzimy na polance, wśród biało rozperlonej rosy cztery smugi ciemne świeżych tropów jelenich.

Osowiali patrzymy jeden na drugiego, wyrywa namsię kilka serdecznych „psiakrew“ pod adresem jelenia „w białych spodniach“, z powodu którego straciliśmy dużo czasu i jedyną może sposobność zapoznania się z owym tajemniczym bykiem, którego „baritus“ od początku wyprowadzał nas z równowagi i pod wrażeniem poniesionej klęski idziemy spać do szałasu, pozbierawszy w powrotnej drodze pogubione rzeczy.

Wieczorem, przed szóstą, idziemy na naszą ziemiankę. Wdrapawszy się na nią, słyszymy łomot w potoku i kilkakrotne stęknięcie. Mój towarzysz zaczyna ryczeć, mniej umiejętnie jak ojciec, mimo to skutecznie, gdyż od strony Riczki, z poza przełęczy, odpowiada mu jakiś nieznany nam dotąd jeleń, którego głos coraz bliższy. Wkrótce okazuje nam się na grzbiecie w okienkach; zmierza wprost ku potokowi. Pobieżny przegląd przez Zeissa daje mi obraz chyba starego byka, gdyż ma oryginalną biało-popielatą sierść, wieniec dość wysoki, ale owalny, słabo rozpięty dziesiątaka, lub dwunastaka. Skupiam teraz całą uwagę na potok, z którego dochodzi nas łomot i trzask łamanych gałęzi. Po chwili, na częste porykiwania zbliżającego się przyciołka, zwabionego przez mego towarzysza, a zmierzającego do łani, która z potoku wyszła na zbocza, gdyż część jej sylwety widzę w okienku gąszczy — nasz czternastak zagrzmiał, ale tak potężnie, z taką siłą, że porykiwania przyciołka i mego towarzysza wydawały się jakby echem, w sile głosu umniejszonym, po wielokrotnym odbiciu.

Równocześnie z grzmotem barytu, jakby wojennym okrzykiem i wyzwaniem do walki, widzę polatujące ku górze żwir i kamienie, rozbijane w wybuchu gwałtownej żądzy zmierzenia się z rywalem, ognisku jego zagrażającym, chociaż ten skromny harem składał się z dwu łań.

Wypada z potoku, — grzmiąc rykiem, sadzi w ukos na zbocz ku porykującemu rywalowi.

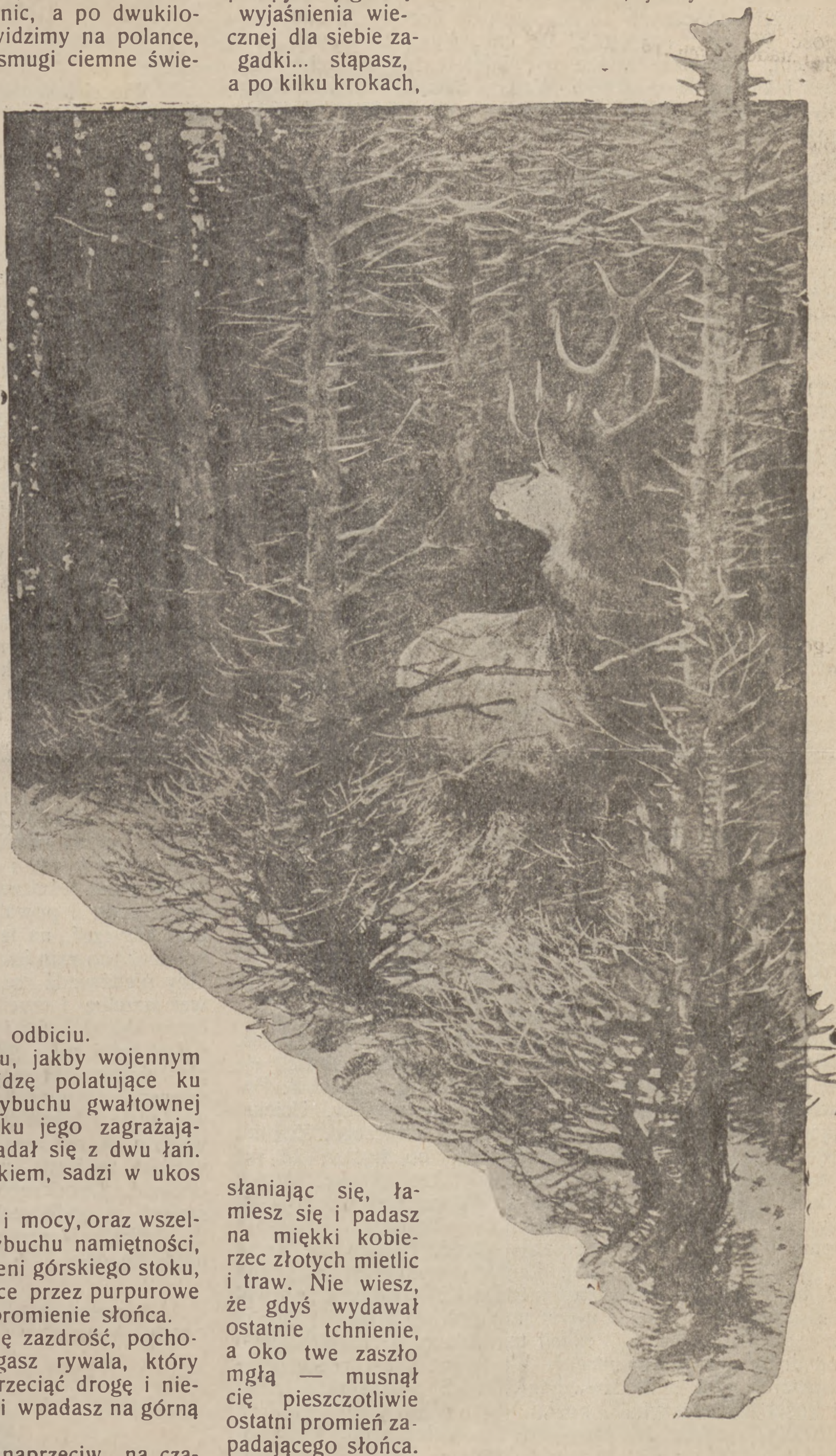
Przepiękny obraz samowiedzy siły i mocy, oraz wszelkich jej przejawów; potężny wyraz wybuchu namiętności, w przecudownych ramach ciemnej zieleni górskiego stoku, którą gdzieniegdzie pieszczą przenikające przez purpurowe korony buków, tkane z różu i złota, promienie słońca.

O! „wojewodo“ jeleni! zgubiła cię zazdrość, pochopność twej kochanki do zdrady! Ścigasz rywala, który zwraca się do ucieczki; chcesz mu przeciąć drogę i niebaczny, opuszczasz kryjące cię gąszcze i wpadasz na górną polanę.

Niebaczny! Nie przeczuwasz, że naprzeciw „na czatach“ czyha na ciebie ktoś, który wypatruje tę chwilę, gdy przetniesz polanę, by przeciąć pasmo dni twoich i mocarnych twoich porywów... dla wieńca, którym się tak pysznisz.

I trafiony, z ostatnim echem wielokrotnie odbitego ryku, giniesz... pięknie, roztopiony w złotawej mgle ostatnich promieni słońca!

Nie wiesz, co się stało. Choć śmierć masz w sobie — zrywasz się z potężnym odruchem ginącego życia, twą przepyszną głowę wznosisz ku słońcu, jakbyś tam szukał wyjaśnienia wiecznej dla siebie zagadki... stąpasz, a po kilku krokach,



słaniając się, łamiesz się i padasz na miękki kobierzec złotych mietlic i traw. Nie wiesz, że gdyś wydawał ostatnie tchnienie, a oko twe zaszło mgłą — musnął cię pieszczotliwie ostatni promień zapadającego słońca.

Zmierzch! biegnę do szałasu po latarkę i gajowego.

Z pomocą latarki wkrótce jesteśmy przy naszym czternastaku, nie obeszło się jednak bez wypadku, gdyż wstępujący na okopy gajowy, wpadł głową na dół do ziemianki i dotkliwie się potłukł.

Byk był tak silny, że sześciu ludzi nie mogło ruszyć go na drugi dzień z miejsca i musiano go tamże rozebrać. Wieniec dobrze operlony. Róża 22 cm. obwodu, pień powyżej nadocznych 18 cm., poniżej korony 26 cm., długość 96 cm., rozpiętość 92 cm., długość ocznych zwyż 30 cm. Wszystkie końce rozwinięte i dobrze zachowane, bez jakichkolwiek szczerb. Waga z czaszką w skórze 10 kg. Rykowisko tegoroczne obdarzyło mnie piękną zdobyczą myśliwską, na którą jednak rzetelnie, po myśliwsku pracowałem, nie oszczędzajac siebie, trudów i wysiłków, by sumiennie na „złomek jedliny“ zasłużyć. A jednak owe trudy wśród cudownych dni jesiennych na górskich wirchach, w gonnych smrekach, na wonnych łąkach, w pełnym majestatu i powagi bukowym lesie, tyle piękna i użycia niosły ze sobą — że nawet owa nocna kąpiel i noc wśród huraganu, przybrały dziś szatę bardzo miłych wspomnień. Takie wspomnienie miłe niejeden z nas wyniósł, czy wraz ze złomkiem, czy bez złomka.

Dla przykładu wymieniam mego najbliższego sąsiada, kom. pol. p. H., który bawiąc krótko; bo niespełna dwa dni, na Mageju, w Rożance niżnej, obserwował trzydzieści sztuk różnej płci, wśród których naliczył kilka dobrych jeleni, między nimi czternastaka.

Nie mógł dłużej pozostać dla złomka, powrócił jednak z bardzo miłym wspomnieniem przepięknego i w dzisiejszych warunkach, dla fauny górskiej bardzo ciężkich — wyjątkowego obrazu, dawne czasy przypominającego.

Za możność zebrania tylu miłych wrażeń, za to prawdziwie myśliwskie użycie, wyrażam, kończąc moje zapiski — podziękę br. Ryszardowi Groedlowi i Zarządowi lasów, za bezpośrednią pomoc i informacje zarządcy rewiru Różanieckiego.

Lwów, w październiku, 1921.

LEON STARKIEWICZ.

Na ciągu kaczek.

(Ciąg dalszy).

Więcej jak godzinę czasu, musieliśmy stracić, zanim dostaliśmy się na brzeg wyspy. W przechodzie po raz pierwszy widziałem gniazda remizów uwite w kształcie pończochy utkanej z włosów, włókien i bawełny branej z pałek szuwarów. — Gniazda te uczepione na cienkich końcach gałązek krzaków zwieszały się ponad wodą i kołysały się przy powiewie wiatru. — Lud miejscowy używa je, jako lekarstwo przeciw febrze, przy tak zwanem, odczynianiu to jest odmawianiu choroby przy pomocy różnych guseł i starodawnych obrzędów. Czynnością tą zajmywały się znachorki, stare baby, w które na owe czasy jeszcze powszechnie tu wierzono. Gdyśmy w końcu zmęczeni i odurzeni wyziewami bagien, gliśniku, akonitu i chmielu, pokąsani przez komary, stanęli na suchym brzegu, pierwszą czynnością naszą było uwolnić się od pijawek, któremi całe nogi, aż do kolan były pokryte. Załatwiwszy się z tą bolesną operacją i wdziawszy suche obuwie i odzież, rozglądnęliśmy się po wyspie, aby wyszukać stosowne miejsce na nocleg i uzbierać mchu i gałęzi sosnowych na posłanie a suszu na ogień. — Uporawszy się z tem, porobiliśmy na prędce z zielonych gałązek budki w których mieliśmy czekać na ciąg kaczek. Do wieczora było jeszcze sporo czasu, toteż nie mając nic lepszego do roboty, posiliwszy się zabranymi z domu prowiantami, legliśmy na miękkim mchu pod cieniem dębu. Zmęczeni ciężkim i trudnym przejściem przez bagna, usnęliśmy śniąc o ciągu kaczek, który niebawem miał nastąpić.

FELJETON.

Polowanie na niedźwiedzia.

Dnia 2 b. m. został ubity leśniczy od niedźwiedzia. Który miał wagę 5 q. Opowiem jak to było. Zasiadło nań 8 strzelców i 10 z pogonki i gdy go wypędzili z okropnych jedlin i świerków, wyszedł niedźwiedź na p. Poschingera, właściciela dóbr Kruzzelnicy. A gdy wyszedł, stanął na tylne nogi i zaczął okropnie ryczeć grubym głosem, a wtedy p. Poschinger strzelił mu 2 razy w łeb. Niedźwiedź z wielkiej boleści i ciemności (?) zwrócił się w tył i zaczął uciekać. W krótkim czasie założył p. Poschinger jeszcze 2 patrony i strzelił go w plecy. Uciekający niedźwiedź dostał jeszcze 6 kul od leśniczego. Zwolnił więc biegu a leśniczy szedł za nim, bo myślał, że już (niedźwiedź) upadnie. I chłopi szli także za nim. A gdy niedźwiedź znowu zaczął uciekać i dopadłszy wody położył się i kąpał się, wtedy leśniczy przybiegł do niego z tymi ludźmi i stanął naprzeciw niego. Niedźwiedź wstał z wody i zaczął iść dalej. Leśniczy wymierzył i dał mu 2 kule w łeb. Wtenczas niedźwiedź powrócił, porwał leśniczego za głowę i urwał mu połowę głowy i twarzy z zębami, porwał go i rzucił tak daleko, że rozbił całego na drobne kawałki i uciekł. Wtedy już państwo się przestraszyło i już za niedźwiedziem nie szli, tylko zabrali ciało i kości nieboszczyka i posłali do wsi po furę i zawieźli do swego domu. Na drugi dzień zebrali się inni leśniczowie i poszli szukać za niedźwiedziem. Leżał on w strumyku a psy leżały obok niego i szczekały. W tym czasie 1 leśniczy chciał się popatrzeć, co tam jest takiego dziwnego; Skoczył więc do potoku a niedźwiedź zobaczywszy, że to strzelec, zerwał się i dalej za strzelcem. Ale strzelec ze strachu wylazł na drzewo i myślał że niedźwiedź go nie dostanie. W tej chwili niedźwiedź stanął na tylne łapy i porwał go za nogi i zaczął ciągnąć w dół. Leśniczy strzelił do niego 2 kulami w łeb aż kule przeszły nawskroś przez niedźwiedzia w same łapy. W tej chwili przyskoczyły psy i chwyciły go za moszna. A niedźwiedź jak trzymał leśniczego tak zerwał z niego spodnie i kawałki ciała i powalił się z psami do rowu. Leśniczy zaczął krzyczeć, na ten krzyk nadbiegł jego towarzysz i nie wiedząc co tam jest takiego, niósł strzelbę pod pachą. Gdy niedźwiedź zobaczył leśniczego, rzucił się nań i porwał strzelbę i rzucił Pan Bóg wie gdzie, ale że był zmęczony od słabości i od psów, wywalił język na pół łokcia i darł leśniczego, gdzie tylko złapał i byłby ubił obydwóch, ale leśniczy porwał go za język tak mocno, że go na wszystkie strony tak szarpał i trzymał aż dopóki nie zbiegli się ludzie i leśnieczowie z Kruszelnicy i nie zabili niedźwiedzia. A ten leśniczy trzymał ciągle tak mocno niedźwiedzia za język, że musieli ludzie niedźwiedziowi język obcinać. Leśniczego z Kruszelnicy niedźwiedź zabił na śmierć, a podhoreckich tak poranił, że musieli się udać do szpitala. Pogrzeb zabitego odbył się w Kruszelnicy w niedzielę dnia 4. b. m. *Wasyl Szabłotowicz.*

* * *

(Powyższy opis, wzięty z gazety z tamtego stulecia, podaję z zachowaniem stylu i ortografii ku rozweseleniu czytelników.
W. G. S.



W nogach moich ułożył się Bekas wyżeł, którego wziąłem ze sobą do aportowania, ubitych kaczek z wody. Po jakimś czasie ze smacznego snu, obudziło nas ciche skomlenie Bekasa. Zerwaliśmy się obaj na równe nogi i przetarłszy zaspane oczy, ujrzeliśmy że słońce już zaszło i że ciąg już się rozpoczął, — Wyżeł, słysząc zapadające kaczki, zbudził śpiących swojem skomleniem. — Zabrawszy strzelby, torby z gotowymi, w rurkach blaszanych przygotowanymi nabojami prochu i śrutu, udaliśmy się na obrane już przedtem miejsca do przygotowanych budek. Zaledwie żeśmy zdążyli usadowić się w budkach, a już stado za stadem zapadać zaczęło na wodę. — Rozległy się niebawem strzały, których doniosłe echo grzmiało po cichej puszczy bez przerwy; — Mieliśmy zwyż dwa tuziny kaczek. Pies pracował zawzięcie, wynosząc z wody ubite i łapiąc zbarczone.

Tymczasem ściemniło się zupełnie, tak, że ledwośmy obarczeni ubitą zwierzyną trafić mogli do swego legowiska. — Powiesiwszy powiązane kaczki na gałęzi dębu, pod którym założyliśmy koczowisko i rozniecіwszy ogień spożywaliśmy wesoło wieczerzę, pociągając od czasu do czasu spore łyki z oplatanej flaszy napełnionej winem.

Towarzysz mój, opowiadając o swych przygodach myśliwskich, wspomniał o jednej nocy, którą już tu przepędził w zeszłym roku. Spytałem go czy nie bał się sam jeden nocować na tej pustyni. — Odrzekł na to, że nie był tu sam, gdyż od czasu do czasu z sąsiednej wsi dziewczęta wiejskie przyprowadzają tu konie na noc i że wtedy właśnie miał aż sześć dziewcząt do towarzystwa. — Chociaż nie dawno byłem w tych stronach, wiedziałem już o tym miejscowym zwyczaju, w innych okolicach kraju nie praktykowanym. — Na paszę nocną tylko dziewczęta prowadziły tu konie. Ich przeciągłe tęskne hukania słyszałem już nie raz w nocy. To tu, to tam gdzieś z rozległych łąk i moczarów odzywało się przeciągłe hu, huu.. którego znaczenia przybywszy tu nie mogłem zrozumieć. Jak się później dowiedziałem dziewczęta pasące konie, czuwając kolejno nad stadem, hukają tak, aby odstraszyć wilki, których w tych okolicach jeszcze dosyć wtedy było.

(Dok. nast.)

Przepadł!...

Umilkł na wieki! Śpi w mchach szmaragdowych!
Nad jego trumną lśnią jodeł gromnice,
Całun go tuli liści purpurowych,
Żałobną baśnią brzmią świerków dzwonnice!

Tam hen na zrębach strzału błyskawice
Padły weń gromem! W nocach księżycowych
Zatęsknią za nim królewne-dziewice,
Rywal nie zlęknie się gróźb piorunowych!

tu się przywlókł imperator dumny,
Gdzie bracia—orły mają swoje trony,
By i po śmierci nie oddać korony!

I tu do skalnej położył się trumny
I dzikim siebie powierzył ostępom,
By dać się orłom pochować i sępom!

(Z cyklu sonetów karpackich). ***Albert Mniszek.***



ST. R. R.

Z mego pamiętnika myśliwskiego.

MÓJ „CHASKIEL“.

28 lutego 1919 roku otrzymałem od p. T. Ząbeckiego zaproszenie na polowanie na dziki do Podburza w Hodorowskiem. Przyjechałem do Podburza wieczorem;



we dworze oprócz samego gospodarza — prawdziwego konesera myśliwstwa — zastałem jeszcze trzech towarzyszy myśliwych ze sąsiedztwa. Wieczór ten — jak zresztą i inne, spędziłem na tak miłej pogawędce, że czas przeleciał mi w tem przezacnem gronie niepostrzeżenie do 3-ej w nocy. Dopiero wtedy spostrzegliśmy, że jednak

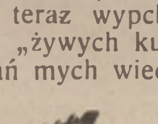
trzeba się i trochę przespać, aby jutro być odpowiednio wypoczętym. Rano zbudziłem się jeszcze przed wschodem słońca i wyglądnąwszy przez okno, zobaczyłem, że mróz po wczorajszej odwilży chwycił i ponowa pruszy jak ulał. W błogiem oczekiwaniu zdrzemnąłem się jeszcze z godzinkę, lecz nie mogąc spać dalej, ubrałem się i wyszedszy zobaczyłem, że moi Towarzysze, tak jak i ja, spać nie mogąc, snują się już po pokojach. Równoczesnie dał się słyszeć gdzieś z głębi domu ruch — jakieś szmery, pospieszna bieganina, ktoś drzwiami trzasnął — ot jak zwykle rano przed śniadaniem w domu przesiąkniętym odziedziczonemi tradycyami myśliwskiemi. Z gorączkowym nieco pośpiechem zacząłem się ubierać, przemyślnie wkładając wszystko na siebie tak, żeby mi ruchów nie krępowało — a było mimoto ciepłe. Mimowoli mówiąc przyciszonym głosem, jakby to było już w lesie, po pośpiesznie wypitem śniadaniu, powsiadaliśmy do sań i bez dzwonków ruszyliśmy do lasu. Po drodze wywołuje moja wyobraźnia z każdej czarnej kupki nawozu, ze śniegu zwianej — jakieś fantastyczne kształty dzików i tak potrochę marznąc mimo futer, a przeważnie marząc po niespełna 4 kwadransach dojeżdżamy do leśniczówki pod lasem. Zastajemy tam nagonkę zbitą koło ognia i kilku gajowych. Zaczyna się rozmowa między gospodarzem i gajowymi w tej znanej i tak miłej uchu myśliwego gwarze na pół polskiej na pół ruskiej. Niestety, nie mówiąc po rusku, nie umię tego powtórzyć, jedynie rozumiejąc piąte przez dziesiąte wykąbinowałem, że gajowy niejaki Besaraba ma odyńca otropionego w rewirze Mełna w miocie na Skałkach — i że to ma być jakiś potwór niesamowity. Myśliwy zrozumie, że takie powiedzenie było dla mnie, jak objawienie i że poczułem mrówki po skórze. Pan Z. zadecydował, że weźmiemy najpierw jeden miot po drodzę całkiem po cichu, bo to dosyć od „Skałek“ daleko a potem weźmiemy odrazu Skałki. W pierwszym miocie gdzie była otropiona locha z 6 warchlakami, nie widziałem nic i miot był „głuchy“. Po nim ruszamy na Skałki, gęsiego, jeden za drugim a za nami nagonka. Uderzyło mnie, jak ci ostatni cicho szli — i tu muszę podnieść, że zachowywali się poprostu bajecznie. Nie zdarzyło mi się spotkać nagonki tak wytresowanej — ale bo też, jak wspomniałem, nasz Gospodarz to nie lada myśliwy! — Muszę wspomnieć, że jako broń, miałem ze sobą mego Winschestra 401 z kulami półpłaszczowemi z expanzą. Jego działalność na jeleniach znałem, strzeliwszy jednej zimy z niego 42 sztuk, lecz z dzikami z nim się jeszcze nie spotkałem i nasłuchawszy się nieraz opowiadań, że kula ta przy dzikach okazała się kiepską — miałem trochę nieprzyjemnego uczucia. Pocieszałem się jednak własną praktyką i tem, że strzelałem z niego doskonale, znając go wybornie. — W pewnem miejscu stanęliśmy i bez słowa rozdzieliliśmy się na dwie csęści — nagonka w jedną, my w drugą stronę. Szliśmy stokiem północnym, najpierw Besaraba torując drogę, bo przymarznięty śnieg nieraz zapadał się i po pas wpadaliśmy w śnieg, potem Gospodarz a potem ja. Po pewnym czasie znajduję na śladzie Besaraby — podkówkę — i w poczuciu dobrej wróżby, chowam ją do kieszeni. Wchodzimy na linię i teraz, co raz, to któryś z nas zostaje rozstawiony na migi przez Gospodarza, to pod krzaczkiem, to za buczkiem, aż nareszcie ręka Gospodarza wskazuje mi rozłożysty krzak buczyny, a sam Gospodarz, nachyliwszy się, szepcze mi — „to pewne stanowisko — jeżeli jest, to go Pan będzie strzelał“. — Zadygotało mi coś w środku, jakby od wielkiego mrozu i zaraz zacząłem cichutko wygrzebywać sobie w śniegu dołek, aby mieć swobodę ruchów. Teraz lustruję teren: na lewo sąsiad stoi odemnie o 80 kroków, między mną a nim w miocie jest halawka dosyć czysta — i jak Rajecki w „Sobolu“ myślę „coby mu to szkodziło tędy wypalić?“ Przed sobą i na prawo gąszcz buczynowy, że tylko słabo gdzieniegdzie da się przeglądnąć — sąsiada z prawej nie widzę, ale wiem, że stoi na linii w tem miejscu nagle spadającej, zakryty wypukłością terenu. Za mną las rzadki i doskonale widny. Jeszcze tylko krótkie ale dokładnie obejrzenie sztucera, — czy wizjer w porządku, muszka nie zasmarowana oliwą — i wsiąkam niejako wzrokiem i słuchem w miot.

Cisza zupełna — wszystko, zda się, śpi przysypane śniegiem, lecz dusza myśliwego umie w tej pozornej ciszy wyczuć tętno uśpionej kniei — a świadomość, że tam w głębi miotu gdzieś pod wykrotem leży podobny do kupy chrustu odyniec — ten zabytkowy krewniak naszych gruboskórców — sprawia, że zapadam w stan, jakby katalepsji przedziwnie jasnej i czujnej. — W tem z głębi mrocznego gąszczu dochodzi mnie przygłuszone, ale pełne w tonie huknięcie nagonki — to ostatnie dzwonienie przed mającym się rozpocząć pierwszym aktem. Nagle — nie uszło ani 5 minut od ruszenia nagonki — widzę przed sobą nieco na prawo wielką szarą masę, która, jak duch, cicho sunie — widzę łeb okropny, coś białego błyska z przodu, potem gmach komory, całe cielsko i czarniejszy od reszty zad. „To ten wielki“ — błyska mi przez myśl i w jednej chwili jestem złożony w najwięcej widną luczkę — którą dzik musi przeciąć. Czuję, że muszę strzelać w miot, bo dzik zniknie mi za wypukłością terenu. Tymczasem odyniec sunie, gdyż inaczej tego ruchu nazwać nie mogę — bez żadnego szelestu prosto na luczkę. W tem na metr przed nią nagle zatrzymuje się, jakby go ktoś zahamował. Widzę tylko środek ciała, gdyż przód i zad zakryty gąszczem — „strzelać, bo zwietrzył i pryśnie w bok“ — przechodzi mi przez myśl — „wszystko jedno, przez środek ciała w to co widać“ — i suchy urwany trzask był na tę myśl odpowiedzią..... słyszę uderzenie kuli, łomot i na moment ciemna masa przecina luczkę, ale tak szybko, że o drugim strzale nie było mowy. Słyszę, jak łamiąc gałęzie wali przed siebie, a po chwili od strony mego sąsiada — strzał. Wszystko skończone — myślę sobie, niepotrzebnie strzelałem, wpakowałem mu kulę na miękkie a tamten dobił. Zły, jak nieszczęście, stoję i czekam, kiedy będę mógł zejść ze stanowiska. Dopiero mi wtedy myśli po głowie latały! Dochodzę jednak do przekonania, że dobrze, że strzeliłem, bo najpierw niewiedzieć, czy tamten trafił, a potem kula mogła zrobić swoje i z psami dzika weźmiemy. O tem, że kulę ma tam, gdzie spuściłem, byłem najpewniejszy. Nareszcie widzę w tem samem miejscu, gdzie dzika zobaczyłem, Besarabę, jak idzie jegośladem mając siekierę przez ramię przewieszoną. Zchodzę zatem ze stanowiska i łączę się z nim, idąc na strzał. Liczę kroki — 68, dochodzę na miejsce strzału i tu dopiero ciarki mnie przeszły, bo tropy jak dwie moje nogi! a to potwór dopiero! Na strzale znajduję ścinek, twardy, w środku czarny, z wierzchu jasny i rozdzielony — zatem kula tam, gdzie miała być, jest — ale ba! w drugim skoku znajduję farbę od wchodu, w trzecim od przeciwnej strony bryznęło jak z konewki. Patrzę na farbę — płucna — co jest do licha, czyżbym się mylił? — ale nie, farba płucna jak najwyraźniej bryzga z obydwóch stron jak wielkiem kropidłem. — Zatem przyspieszam kroku, jako, że otucha we mnie wstępuje i idąc tropem a omijając gąszcze, przez które dzik walił, jakby nigdy nic — dochodzę do linji. Spostrzegam na niej sąsiada i Gospodarza, którzy coś bardzo radzą i pokazują za siebie w miot. Dowiaduję się wreszcie, że sąsiad dzika przed mym strzałem nie widział, po strzale słyszał łomot i naraz zobaczył go, jak walił prosto na niego — uskoczył, strzelił na linji, ale chybił i zrepetować już niemiał czasu. Faktycznie miejsce, na którem stał, zlane było farbą, tak blizko przeszedł. Powiada, że okropna sztuka i widział jak farbą z boku bryzgał. Gospodarz zaczyna mnie ściskać, gratulując takiej sztuki, gdyż jak mówi „po tej farbie znajdziemy go i bez psów“. Tymczasem Besaraba niewidziany przez nas poszedł za tropem za linię i nagle z tamtej strony słyszymy głos: „je dyk, je — ale wełeki“! — Na takie dic-

tum wszyscy trzej puszczamy się pędem o ile na to śnieg pozwala na zbocz za linię i po jakich 40 krokach widzimy dzika zarytego gwizdem w śnieg, jak leży podobny do czarnej wyspy. Z należnym respektem z gotowym sztucerem zbliżam się do niego — ale ostrożność zbyteczna. leży nieżywy zlany dokoła farbą, aż czerwono. Podbiegamy, przewracamy — ależ to gmach, jak stodoła szable sterczą mu na całą długość dłoni, cały łeb i przód rudawo siwy — jednem słowem okara.

A teraz nieco o kuli. Strzelałem pod prostym kątem na połeć, wejście kuli na koniec komory, wyjście w tem samem miejscu po drugiej stronie. jako trzy otwory wielkości 5 koron. Strzelając, sądziłem, że umieszczam kulę w miękkie, lecz nie brałem pod uwagę to, że komora dzika jest w stosunku do jego ciała dłuższa, niż dajmy na to u jelenia i dlatego to co sądziłem, że jest połową ciała. było jeszcze końcem komory. Od strzału poszedł 106 kroków — ciągle zboczem z góry na dół, farbował zaś tak silnie, że pociemku można było za tropem iść. Był to niezwykle stary i bardzo chudy odyniec. Wymiary następujące: waga 120 kilo, długość od gwizdu do końca zadu 241 cm., wysokość w kłębie 113 cm, widoczna długość szabli mierzona po łuku 11 cm, długość łba od początku gwizdu do uszów 54 cm., — zatem naprawdę ładna sztuka. — Nastąpiło teraz fotografowanie w różnych pozach i po dwóch głuchych miotach wróciliśmy do dworu. Tu nastąpiło obielanie dzika i obcinanie łba po łopatki do wypchania. Przy tej sposobności przekonałem się, że kula zrobiła swoją powinność, jak nie mogła lepiej, rozleciała się na 5 części. Dwa kawałki z tego, w czem cały płaszcz, wyjąłem z pod skóry z drugiej strony, zaś trzy kawałki wyszły, ponieważ były trzy osobne wychody. Płuca zmasakrowane były, jakby od blizkiego strzału śrutowego, rana zaś w nich szeroka na całą rozłożoną dłoń. Prócz tego przy obielaniu wyleciały z pod skóry dwa kawałki siekańców zarosłe na karku — najwidoczniej świadkowie jakiegoś niefortunnego spotkania. Muszę zatem powiedzieć, że Winschester 401, mojem zdaniem, jakkolwiek w balistycznych danych ustępuje niejednej innej broni — choćby Schönauerowi 9.5m/m — to jednak na dziki do kniei, gdzie chodzi o szybkie częste strzelanie i gdzie się strzela na niewielkie stosunkowo odległości — stanowi doskonałą broń. Jestem najmocniej przekonany, że, aby tylko trafić a nie skrobnąć dzika gdzieś po zadzie, lub skórze, to nikt z Winschestra zawodu mieć nie będzie — co do mnie, to innej broni na dziki do kniei nie używałbym nigdy.

Długo w noc tego pamiętnego dnia gawędziliśmy w gościnnym domu Pana Z., przeżywając niejedną chwilę emocji na nowo — a teraz wypchany dzik, kula schowana do mego zbioru „żywych kul“ i pamiętnik stanowi niejednokrotnie przystań mych wieczornych marzeń.



WŁADYSŁAW JANKOWSKI.

Heco, heco, hedżgoha!

Pamiętniki charciarza.

Słowo wstępne. — Inwokacja. — O polowaniach z chartami. — Jakie mają być charty. — Jakie konie do polowania z chartami najlepsze. — Mój mistrz. — Ostatnim tchem zwycięzca. — Lisia kąpiel. — Lis bez psów sforsowany. — Niezwykłe skoki. — Nieudana próba sforsowania lisa. — Życzliwe rady Michała furmana. — Wodzirej weredyk. — Jeszcze jeden sforsowany zając. — Niezręczny dojeżdżacz. — Coś niecoś o moich chartach. — Duglaś i Szejtan. — Piękna gałganka. — Kłapacze. — Pomoc dajcie mi rodacy. — Ciekawe polowanie. — Co się prócz lisów i zajęcy nam przydarzyło. — Polowanie zimowe. — Lepszy rydz, jak nic. — Spadam wraz z chartami mykicie na łeb. — Daremna praca, daremny trud. — Cierpliwość wynagrodzona. — Walka o rekord. — Kompromitacja Lasoty. — Mykita redivivus. — Głupie charty. — Przerwane zaloty. — Zagadkowy taniec lisa.

SŁOWO WSTĘPNE.

Już śliczna nasza jesień podolska ozłociła świat cały. Złocą się liście na drzewach, żółcą obszerne ścierniska. Potężne połacie zielonej runi ozimin, idą na przemian z czarnymi zwałami głęboko pooranej ziemi. Łany bezbrzeżne hen aż pod niebieskłon się ścielą, ubrane z rzadka kępkami wyschłych burzanów i bodiaków. Cicho i pusto na przestronnych polach naszych, tylko gdzieniegdzie jeszcze zapóźniony oracz pruje pługiem ziemię tłustą, przyspiewując tęskną dumkę. Tylko od czasu do czasu zarysuje się na niebie klucz gęsi lub klangor żórawi przerwie ciszę uroczystą. Snać natura, po pełnej nadziei wiośnie, po znojnem lecie i pracowitym czasie siejby, układa się na spoczynek zimowy i w cichym śnie nabiera sił nowych, by znów ludzi obdarzyć zbiorami hojnymi.

Lecz oto na tym pustym cichym stepie, tak cichym że aż w uszach dzwoni, zjawia się kilka konnych postaci. Jeźdźcy wyciągnęli się długim szeregiem i jadą polami na przełaj, pilnie czegoś wzrokiem przed sobą szukając. Wśród nich dojeżdżacz prowadzi na smyczy parę ścigłych chartów. Jadą w milczeniu i tylko bacznie przeglądają oczyma każdy załom skiby, miedze polne, kępy burzanów.

Wtem jeden z myśliwych drgnął. Poprawił się w siodle, zatoczył koniem i jeżdżąc w koło, heco, heco, przyciszonym woła głosem. Łamie się równy dotychczas szereg myśliwych, zjeżdżają się do szczęśliwego, czy też do pilniejszego obserwatora. Jakaś kupka szaro bura, podobna raczej do garści uschniętego perzu, niż do żywego stworzenia, nagle ruszyła się. Jak z procy wypada zając. Hedżgoha! krzyknął myśliwy, hedżgoha wołają towarzysze i już charty ze smyczy spuszczone, już pełnym pędem mknie szarak, za nim charty, a za nimi jeźdcy w galopie. Wyciąga się biedne zajączysko i zda się, nie ma na świecie istoty, coby go dogonić mogła.

Lecz po chwili odległość między nim a psami się zmniejsza, już już go dosięgnąć mają, niema dla biedaka ratunku. Wtem potężny sus w bok, charty, nie mogąc zahamować pędu, popędziły prosto dalej, a nasz szaraczyna już sunie miedzą iju ż się odsadził o kilkadziesiąt długości.

Ale zwodnicza tylko nadzieja ocalenia. Już go znowu charty przycisnęły, jeszcze jeden, dwa obroty, jeszcze mistrzowski kominek w górę ponad łby charcie, lecz już go jeden piersiami trącił, już drga ciało w potężnej charciej paszczęce, a rozpaczliwe „kniazienie“ zająca, oznajmia koniec tragedyi.

Zjeżdżają się myśliwi, wesołe docinki, żarty, komentarze przelatują z ust do ust, a na trupa:

Siaki taki do flaszeczki,
Gul, guł, gul, gul gorzałeczki

śpiewają i ilustrują przykładem.

„Wodzirej“ dał sygnał, i znów szereg jeźdców szuka pilnie po polu nowej ofiary.

Tak to in illo tempore bywało, gdy folwark był cały, stajnie i obory pełne inwentarzy, przeniczka i spirytusik hojne dawały dochody, a uregulowane gospodarstwo, nie wymagało żmudnej, całodziennej pracy.

Lecz pszyszły lata wojny, iolwarki poszły w gruzy, parę broniaków za drogie kupionych pieniądze, jedna lub dwie krowiny, to cały inwentarz. Wszystkiego brak, kłopotów i trosk pelno. Trzeba odbudować folwark, trzeba uprawiać pola od siedmiu lat leżące odłogiem, trzeba po prostu z niczego, wszystko na nowo stworzyć.

Więc też i na łowy z charty czasu nie staje, a heco i hegżgoha, wywietrzały z głowy, zwłaszcza że po przebytych trudach wojennych, i zdrowie nie dopisuje, jak dawniej i rany dolegają.

Dziś zamiast konno po polach hasać, piechotare debeo, od miedzy do miedzy, a zamiast licznym rozkazywać fornalkom, tres faciunt collegium.

Znajdziesz żołnierzu, znajdziesz po wojnie,
Pustki w komorze, ran w skórze hojnie...

śpiewa słusznie poeta. Mnie po wojnie jeszcze gorzej to wypadło, bo komory nawet nie znalazłem, tylko jak przed stworzeniem świata, duch Boży unosił się nad polami.

Gdy więc długie nadchodzą wieczory jesienne i wicher jęczy po przez papierem poklejone okna chałupy, obecnie do rangi dworu awansowanej, miło jest wezwać dawnych towarzyszy na gawędę myśliwską.

Tak powstały one pamiętniki charciarza, a Wam miłe Towarzyszki i Towarzysze charcianych gonitw, tych bezpretesyonalnych obrazków kilka poświęcam.



Korespondencje.

Radłowo leśne (Wojew. Poznańskie), 20/10. 1921.

Bory poznańskie, jak wszystkie bory, rozsiedlone na ziemiach lekkich, t. j. piaszczystych, — obfitują przeważnie w króliki.

Miejscami jest ich wiele, że szkodzą kulturze leśnej. To też, jak dowiaduję od tutejszej ludności, w latach ubiegłych rząd pruski był zmuszony truć te stworzonka marchwią zatrutą. Rezultat był rzeczywiscie celowy, lecz przy znacznej liczbie padłych kroiików, znaleziono wiele zajęcy, a także i sarn. Wskutek tego dano spokój dalszej zagładzie królika.

Królik jak wiadomo, jest to mały zajączek o żółtym futerku, nierzadko także o szarem, łudząco podobny do zająca, a trafiają się i krase biało z czarnem, — przypominają królika domowego. Mięso zdawałoby się, że niczem nie różni się od zająca. Skórka silna, jak lisia.

Jamy królików różnią się od lisich tem, że są o połowę mniejsze, sięgają jednak w długość i głębokość może bardziej od lisich.

Żyją podobnie jak zające, są jednak, jak powiedziałem daleko szkodliwsze dla lasu t. j. kultur leśnych, na których lubią żerować i to ustawicznie przez cały dzień, gdzie zupełnie bez celu ścinają młode sadzonki sosnowe, których wcale nie spożywają. Obok szkód przez odgryzanie wierzchołków młodych drzewek szkodzą również tworzeniem wielu chodników, przeważnie w starszych zagajnikach sosnowych, które są formalnie podminowane rozlicznymi chodnikami i otworami, co przy tegorocznej posusze dla młodych sosenek odbija się zabójczo, albowiem korzenie tych drzewek są odkryte, na które powietrze dostaje się tymiż chodnikami.

Królik jest bardzo trudny do upolowania. Słuch ma nadzwyczajny, tak, że zając ani w jednej czwartej części mu nie dorównuje. Powiedziałbym, biorąc z własnej praktyki, że obok tego nadzwyczajnego słuchu, posiada chyba jeszcze — wiatr. Rzadko kiedy udało mi się zejść królika na 50 kroków i to przy huraganowej wichurze. — Spłoszony miga tak szysko, że nie ma czasu na złożenie się do strzału; najczęściej znika w jamę, obok której w nieznacznej odległości spotykanym bywa.

Tu, na króliki „polują“ z łasiczką, czyli z fretką, małem zwierzątkiem z familii tchórzów. Polowanie takie zwią „fretkować“.

Na jednem z takich byłem osobiście, byłem ciekaw, w jaki sposób chwyta się króliki w siatkę i to żywe nawet. Otóż rzecz prosta, wszystkie otwory jam zasłania się siatką, poczem wpuszcza się fretkę do jednego z nich. Fretka, jako zwierzę krwiożercze, biega po wszystkich chodnikach, szukając ofiary. Gdy poczuje królika, ściga go do upadłego. Królik, jak wiadomo bardzo płochliwy, nie potrafi się bronić, umyka więc na powierzchnię ziemi. Tu, trafia na siatkę, w którą się wwikła, a tymczasem „myśliwy“ już czeka na niego a zoczywszy go, wali już w siatce po słuchach, aż do uśmierzenia. W ten sposób tutejsi „nemrodzi od niedzieli“ a także i od poniedziałku, upolowują po kilkanaście sztuk dziennie, tych stworzonek.

Tym razem św. Hubert patron łowów naszych małopolskich widocznie chciał mi zaoszczędzić tego widoku, bicia królika pałką, kazał fretce zarżnąć królika w jamie. Fretka upiwszy się krwią swej ofiary, najspokojniej usnęła sobie, nie troszcząc się o swego pana, oczekującego na królika mającego wyskoczyć z jamy. Wyczekiwanie na obudzenie się fretki trwało do późnego zmroku, poczem „łowiec„ uznał. że już nie wyjdzie i że musi się ją dopiero wykopać. Co też dokonał w dniu następnym, a jako stary praktyk, odkopał swą fretkę, która sobie w najlepsze spała przy zagryzionym króliku.

Od specyalisty tych polowań, dowiedziałem się, że chcąc bez zawodu „fretkować należy fretce założyć kaganek, aby nie mogła rżnąć królików, — a obok tego ma dostać dzwoneczek, którym daje znać gdzie się znajduje.

Czy takie polowanie można w ogóle nazwać polowaniem, wolno mi wątpić. Z.

* * *

17/10 1921.

Knieja u Państwa Wolskich w Perepelnikach w powiecie zborowskim położona wśród pól i łąk, o terenie łekko pagórkowatym i przy różnej gatunkowości drzewostanu liściatego i szpilkowego tworzy idealną ostoję dla różnorakiej zwierzyny, począwszy od ponurego lokatora podziemia, skończywszy na burzycielu pól ziemiaczanych.

Po zupełnym wyniszczeniu zwierzyny podczas wojny stan jej dzięki opiece gospodarza podnosi się szybko.

W przecudnej tej jesiennym strojem ulistnionej kniei dnia 15 października b. r. stanęło pod sztandarem św. Huberta 7 myśliwych, uzbrojonych od stóp do głów, gotowych na śmiertelny bój z mniej lub więcej grzesznymi mieszkańcami boru.

Ranny deszcz pędzony gwałtowną wiechurą zasępił czoła drużyny św. Huberta, który dopiero na wiadomość, że udział w wyprawie bierze młodziutka adeptka sztuki myśliwskiej w osobie pani domu, pomny względów należnych płci pięknej, rozprószył chmury i łaskawszym okiem spojrzał na swą druzynę. — Słonko zabłysło; tchnęło weselem w las i w serca myśliwych!

Niestety Diana w tym wietrzym dniu okazała się złośliwą. Zającom rozkazała, by przykucnęły pod krzakiem i nie ruszały się, a w ostateczności wyrywały na naganke. Zazdrośna o futerko lisie wyprowadzała je pod osłoną najgęstszych zarośli z miotu, lub też na wąziutkich liniach kierowała wprost pod nogi myśliwych tak, że lis jak przez furtkę z gąszczu w gąszcz przeskakiwał. Tego rodzaju złośliwe żarty udawały się jej, dzięki silnej wichurze, która zbliżającego się lisa — nie dozwalała po liściach usłyszeć a tylko kilka z nich śmiałe swe przemytnictwo życiem przepłacjło, zwłaszcza, że trafiały na mecenasa, którego Diana, mimo protestu ze strony innych myśliwych łaskawszymi względami raczyła otoczyć.

Podobnie z dzikami. — Odyniec spacerował z miotu do miotu i z powrotem, lub przeskakiwał na wązkich przesmykach w gąszcze i zanim myśliwy się złożył, chwostkiem na pożegnanie machnął. Inne przedstawiły się panom z naganki i poszły gdzieindziej szukać ziemniaczanego chleba.

I na tem nie koniec figlów bogini! Jeden z dziczej familji, prawdopodobnie zwabiony smakowjtem śniadaniem przygotowanem przez urocze adeptki sztuki kulinarnej przyszedł zameldować się, że i on pragnąłby skosztować specjałów z ich rączek.

Niestety jarzębiak i bigos nie pozwolił natychmiast oderwać od siebie nemrodów, ażeby śmiałka w miocie otoczyć i odpowiednio nieproszonego gościa powitać, który też na powitanie po śniadaniu nie raczył poczekać.

Słonki pokazywały się w każdym z ośmiu miotów; podnosiły się niechętnie i dopiero przyparte do muru, zrywały, żeby rywalizować z wichrem i strzałami myśliwych.

Sarny widziano dwa razy. Smętnooka ta zwierzyna ucierpiała podczas wojny w tutejszym powiecie najbardziej, to też słusznie winna się cieszyć należną ochroną.

Gościnność i serdeczność staropolskiego domu wielokrotnie wynagrodziła nieżyczliwości bogini w tym dniu, który złożył daninę z 3 lisów, 5 zajęcy i 2 słonek. *A. S.*

* * *

Uniż, 26. listopada 1921.

W niegdyś pełnym dzieł sztuki i przepysznych pamiątek, dziś, jak tyle innych, w gruzach leżącym Uniżu, odbyło się doroczne jesienne polowanie na dziki u p. Kazimierza Przybysławskiego, wśród uroku pełnej i zmiennych wciąż widoków kniei na ściankach dniestrzańskich.

Że knieja nie dała takiego rozkładu, jak nam dać chciała, nie gospodarza wina; wykazała bardzo znaczną ilość dzików, a gospodarz tak najmilszą dozę prapolskiej gościnności, że prócz trupów przy biesiadzie powinno było paść 12 dzików.

Nagonka w tych trudnych warunkach prowadzona bez zarzutu, ale kule omijały niestety swój cel. To krzywe lufy, to wzrok zamglony, to okiść, to emocja w kolanach, lub humor wyśmienity, albo zawodzący ładunek, były powodem że..... w rezultacie pudła.

Ubito mimo to dzików 5, lisów 5, rogaczy 3 (2 z rogami, jeden myłkus) i 14 zajęcy. Orzeł i puchacz niestety uszły bez strzału.

Dość, że tylko gospodarz może być dumny z kniei gościnności, my ze spotkania, apetytów, cudnego czasu i najmilszych chwil spędzonych w tym uroczym zakątku, z celności strzałów mogą być przeważnie dziki dumne. Lecz ileż humoru ile dowcipu, który w kilku nader udanych iście Fredrowskich wierszach echem tię odbił, dały te łowy. Dawno o stare unizkie gruzy nie odbijały się salwy tak szczerego śmiechu i wesołości, jak dziś, co zawdzięczamy gorącemu sercu gospodarza.

* * *

Nahorce p. Żółkiew listopad 1921 r.

Stan kuropatw w pow. żółkiewskim bardzo marny; w roku 1918 podczas dużych śniegów spadłych w listopadzie zeszło się kilka stadek na folwark w Nahorcach (około 50 sztuk); zacząłem te biedne kuraki na ich zagładę żywić. Miałem zamiar je wyłapać i na wiosnę parkami wypuścić. Niestety, musiałem dwór opuścić, a hajdamacy, obejmując folwark w admjnistrację, wybili biedne kuropatwy do nogi. Jastrzębie wyłapuię w żelaza a do wron wezmę się zapomocą fosforu. Stan zajęcy bardzo dobry, stan sarn marny, dzików wiele. Brak nam delegatów. — *A. Rybicki.*

* * *

Uhryń pow. Czortków grudzień 1921 r

Dzięki usilnej pracy D-ra Aleks. Zawadzkiego, zawiązało się w Czortkowie „Polskie Towarzystwo myśliwskie“ liczące około 30 członków; polowano w Dawidkowcach, gdzie padło 84 zajęcy i 1 lis. Stan zwierzyny w pow. czortkowskim bardżo mały; trochę zajęcy, lisów i sarn bardzo mało, kuropatw ani widać, dziki czasem pojawią się, lecz ustawiczny nlepokój w lasach wygania je z tych okolic. Byłoby bardzo dobrze, gdyby już teraz postarać się o zapewnienie, skąd sprowadzić kuropatwy i bażanty na wiosnę. Gdyby była większa rozmaitość w stanie tuejszej zwierzyny, to i ten szaraczek nie byłby narażony na tak zapamiętałą strzelaninę, jaką obecnie obserwuję. Plagą ogromną są jastrzębie; straż leśną i polną uzbrajać w broń, to i rzecz w obecnych czasach trudna — no i ryzykowna, by sobie pod bokiem kłusownika nie wychować. Mimo tych ciężkich warunków, pomału wracamy do przedwojennych czasów, zwłaszcza iż tutejsze Tow. Łowieckie ze swym prezesem Dr Zawadzkim energicznie działa. — *Tad. Potocki.*

Lwów, grudzień 1921.

Lwowskie Towarzystwo myśliwych „Nemrod“ nadsyła nam wykaz tegorocznych polowań; na 7 terenach polowano ośm razy i ubito 347 zajęcy, 5 lisów, 7 jastrzębi i 1 gęś, ilość strzelb 10 do 18.

* * *

Uherce niezabitowskie 15/XII.

Dnia 15 grudnia b. r. rzucił się na gromadkę indyków jastrząb (astur palumbarius); indyki wzięły go pod nogi i zaczęły go deptać i bić dziobami — walka między zuchwałym rabusiem a dzielnymi indykami trwała dość długo, nadbiegli dopiero parobcy zabili go pałkami. Był to stary, ogromny okaz, który wilkie spustoszenie szerzył wśród kur uhereckich a obecnie powędrował do pracowni pana Kalkusa. — *W. G.*

* * *

Rohatyn, grudzień 1921.

Rohatyńskie Towarzystwo myśliwych, zorganizowane na nowo tego roku pod prezesurą p. marszałka Cieńskiego, urządziło tego roku kilka polowań, których rezultat był dość marny i to tak dalece, iż p. starosta Frankowski zamknął w całym powiecie prawo polowania na kozły a gdzieniegdzie na zające na cały rok. Słynne swego czasu polowanie (na dziki) w Załanowie u p. Kanarka dały na rozkładzie 4 lisy 20 zajęcy (i dwa dziki.... chybione) W Pukowie padł lis i 14 zajęcy. Na innych terenach poszło jeszcze gorzej. Nie można się dziwić, gdyż w naszym powiecie najdłużej istniała linja bojowa a może i za dużo mamy nie myśliwych, tylko strzelców i trucicieli lisów. — *R. W.*

* * *

Z powiatu Rawskiego.

Jako delegat na powiat Rawa-Ruska czuję się w miłym obowiązku donieść słów parę o tym powiecie pod względem łowieckim.

Niestety nie mając wiele materjału i dat statystycznych, muszę ograniczyć się tylko do sprawozdania dość pobieżnego. Byłoby zatem bardzo wskazanem, by na przyszłość zawiadamiano zawsze delegata danego powiatu o wyniku polowań, co dawałoby dobry obraz łowiecki. Na tem więc miejscu zwracam się do myśliwych powiatu rawskiego z prośbą, by raczyli mnie o stosunkach łowieckich swojej okolicy uwiadamiać.

Powiat tutejszy, jako jeden z posiadających większe ilości lasów, mimo, że nizinny, bo 57.443 morgów, daje wiele miłych rozrywek dla myśliwych, których też powiat tutejszy kilku i to poważnych wydał. Czy w jakiejś spółce łowieckiej, czy na premjowych strzelaniach zawsze powiat rawski licznie był i jest reprezentowauy. Nic dziwnego, bo knieje tworzą myśliwych, z knieją zżyć się trzeba, poznać ją dokładnie, umiłować i często w niej przebywać, by stać się dobrym żołnierzem z pod znaku św. Huberta.

Takich też pionierów myśliwstwa dał powiat tutejszy, ale huragan wojny zwiał cały ich dorobek pracy i dziś znów pierwsze kroki w hodowli łowieckiej stawiać trzeba.

Przed wojną szczycić się mógł powiat ładnymi wynikami polowań, o czem już w swoim czasie hyło sprawozdanie w „Łowcu“. Rozkład dzienny dochodził do kilkuset zajęcy, a to: w Kamionce Wołoskiei, Tarnoszynie i Szleniku, sarn najwięcej stosunkowo było w Tarnoszynie, Szczercu i Zaborzu, co do dzików to w Siedliskach i Karowie była ich pepiniera.

Na parę lat przed wojną stan zwierzyny łownej zmalał z powodu ostrych zim i mokrych bardzo lat, ale mimo to rozkłady były ładne n. p.:

1) Szalenik 6. grudnia 1910 — 118 zajęcy, 14 bażantów.

2) Żurawce 7. grudnia 1910 — 192 zające.

3) Karów 28. i 29 listopada 1911 — 8 dzików, 11 lisów, 68 zajęcy.

4) Poddębce 9. grudnia 1911 — 6 dzików, 8 rogaczy.

5) Tarnoszyn 15. stycznia 1912 — 180 zajęcy, 2 lisy, 2 rogacze.

6) Szczerzec 29. stycznia 1912 — 91 zajęcy, 17. rogaczy, 7 lisów.

7) Siedliska 29. października 1912 — 7 dzików, 14 lisów, 35 zajęcy

Lisy przed wojną na ogół tępiono zawzięcie. głównie łapiąc na żelaza, których dziś zupełny brak i trudno je w kraju dostcć. Byłoby bardzo pożądanem, by Towarzystwo łowieckie zajęło się tą sprawą i sprowadziło większą ilość żelaz różnych, a pewno chętnych nabywców wieluby się znalazło. O strychninę dobrą dziś także nie łatwo, więc lisy dość swobodny żywot prowadzą obecnie. I tu w powiecie zaraza stan lisów przerzadziła przed paru laty, dziś jednak jest znów sporo tych reprezentantów drogich i poszukiwanych futerek.

Co do ptaków łownych, to stan ich maleje, przed wojną odbywały się tu ładne toki cietrzewi w Szczercu, Wierzbicy i Zaborzu, dziś w tym koncercie miłosnym tylko po kilku muzykantów uczestniczy. Bażantów padało przed wojną po kilkadziesiąt na jednodniowym polowaniu n. p.:
w Korczowie 30. grudnia 1912 — 48,
w Szaleniku 15. listopada 1913 — 57.

Ptak ten, jako bardzo idący za kulturą, wskutek wojny najbardziej ucierpiał i dziś nielicznie jest reprezentowany, taksamo co do kuropatw, których n. p. w Kamionce Wołoskiej padało w sezonie około 1000 sztuk, teraz na ogół jest ich znikoma ilość.

Słonki jak wszędzie, ilość ich zależy od roku, raz gorzej raz liczniej nas nawiedzają. Przed wojną śliczny rozkład słonek dało Hujcze, bo około 40 sztuk w jednym ładnym dniu jesiennym, także i w Potyliczu bywają ładne ciągi.

Ptactwo błotne i wodne maleje z każdym rokiem przez osuszanie bagien, regulacje rzek, a także wskutek minionych ostatnich suchych lat. Zato ptaki drapieżne, dzięki wojnie, bardzo się rozwielmożniły, a z braku puchaczy i żelaz, stoimy wobec nich bezradnie.

Zniszczona wojną kultura łowiecka zwolna dźwigać się już w powiecie zaczyna, o czem świadczą wyniki polowań na drobną zwierzynę w Radzużu, Szaleniku, Zaczku i t. d. gdzie już kilkanaście tysięcy Mkp w ładunkach śrutowych drużyna myśliwska wystrzelała. Polowania zaś ze sztućcem, na dziki, najlepsze, to Karów, Siedliska, Szczerzec, Wulka Mazowiecka i Smolin, a pozatem wiele innych kniei, gdzie dziki przechodząc, często się zatrzymują ku radości my śliwego w zimie, a utrapieniu rolnika w lecie. O ile prawie wszystka zwierzyna znacznie wskutek wojny zmalała, o tyle dziki o wiele liczniej są reprezentowane, to też prawdziwe rekordy odniosły niektóre knieje n. p. w sezonie łowiec 1919/1920 padło dzików w Karowie 37, a w Szczercu 40kim.

Nadchodzący sezon myśliwski rokuje co do dzików jak najlepsze nadzieje, dzików jest dużo i biada im, skoro w kniei zagra głos „Łucia" sławnego pieska-dzikarza z Korczowa.

Nawet jeleń widziany był w tym roku w powiecie, a to w Karowie, szukając jednak wspanialszych wrażeń, kilku myśliwych tutejszego powiatu jeździło w góry, między nimi i ja do rewirów rządowych, niestety bez strzału i wieńców do domu powróciliśmy.

Tradycyjny zjazd w Zaborzu w dniu 10. lipca odbył się i w tym roku, dzięki łaskawym sąsiadom, przyczem strzelano o „Nagrodę Zaborza" do lisa w ruchu kulami. Pierwszą nagrodę zdobył p. Roman Czaykowski, drugą Paweł ks. Sapieha junior. Niech mi wolno będzie na tem miejscu prosić, by łaskawi sąsiedzi o przyszłym 10. lipca raczyli nie zapomnąć i o dalsze „Nagrody Zaborza" się ubiegać.

Powiat więc rawski dziś jest pod każdym względem, a więc i łowieckim po kilku inwazjach w odbudowie. oby tylko ona jak najszybszym szła tempem, tego szczerze życzę drużynie św. Huberta.

Z. Ł.

* * *

Gródek Jagiel., 5. listopada 1921.

Rzadki gość zawitał w nasze strony! Oto wczoraj rano zapadły na staw tutejszy dwa łabędzie zapędzone prawdopodobnie i umęczone kilkudniową burzą. Spłoszone jednak przez p. Sz., który chciał je na strzał podpłynąć — zerwały z daleka i uleciały w nieznane strony. Podobno na wiosnę roku bieżącego przebywały przez dni kilka i na stawie brzeżańskim. Czyżby zechciały znowu upiększać i ożywiać nasze wody, jak przed kilku wiekami?

H. M.

* * *

Lwów, w grudniu, 1921.

U Państwa Hanakowskich i młodych Pp. Czerkawskich, w Dziedziłowie, ubiliśmy dnia 17. grudnia, w 15 strzelb, w siedmiu miotach polnych i trzech lasowych, 68 zajęcy: Polowanie to było miłą niespodzianką dla wszystkich uczestników, szczególnie jednak dla podpisanego, który znając knieję dziedziłowską od r. 1891, był wprost zdumiony pięknym stanem zajęcy, przewyższającym najlepsze lata przedwojenne. W miotach polnych roiło się wprost od zajęcy i byłoby ich zresztą bez szkody dla zwierzostanu, padło niewątpliwie zwyż setki, gdybyśmy się byli stale pól trzymali i gdybyśmy w szerokich miotach polnych nie byli zmuszeni stać w odległościach 250 kroków od siebie. Ostatnia okoliczność była też powodem złej proporcji strzałów, których dano prawie trzysta.

Zacnym, gościnnym gospodarzom, należy się za mile spędzony dzień, serdeczna podzięka od szczęśliwych uczestników.

A. S.

Sprawy Towarzystwa.

Nowomianowani delegaci, niewymienieni dotychczas w „Łowcu":

Husiatyn: Innocenty Paleniczek,

Jarosław: Zygmunt Lechman, Stanisław Kisielewski, Kazimierz Suchecki, Roman Wolski.

Redaktor odpowiedzialny: Rudolf Wacek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.